ROK 1. WARSZAWA.
N^ER 4. Dnia 15/27 Stycznia 1866 r.



PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k, 41 (Złp. 29 g. 18).
Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6)	Półrocznie „ 1 „ 22 (Złp. 8 „ 4).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp 16 g. 8).
Kwartalnie „ — „ 45 (Złp 3).	Kwartalnie „ — „ 61 (Złp. 4 „ 2).	Półrocznie, połowa tegoż.

RĘKA RĘKĘ UMYWA, NOGA NOGĘ WSPIERA.

Każdy wié z doświadczenia, że dwa dobre konie więcéj pociągną niż jeden, że dwóch ludzi prędzéj dźwignie ciężar niż jeden; że słowem gdzie więcéj sił zgodnie działających, tam i skutek większy. W domu naprzykład rolnika czy rzemieślnika, gdy więcéj rąk do roboty, więcéj téż zysku: ojcu pomaga żona i dzieci, majstrowi czeladź, fabrykantowi robotnicy. Gdyby każda z tych osób pracowała tylko dla siebie, sam na sam, musiałaby sama sobie we wszystkiem wystarczyć: i ziemię zaorać i jeść ugotować i bóty uszyć i siekierę ukuć trzebaby samemu. Ale na to ani dosyć zręczności ani dosyć czasu by nie było. Podzielili się zatem ludzie robotą: jeden pług trzyma, drugi igłę, trzeci szydło, czwarty hebel, piąty pióro, szósty książkę i tak daléj, a każdy pilnuje swego. Jest to już wielki postęp między ludźmi, gdy dojdą do takiego rozdzielenia roboty między rozmaite ręce. U nas na wsi jeszcze mało rzemieślnik ma do roboty: rzadko gdzie szewc lub krawiec; szklarz ledwie raz na rok albo mało częściéj zagląda. Kowal, prawda, jest częstszy, ale Boże się zmiłuj jego roboty! Jak narogi zaostrzy, to pewnie jutro trzeba go znów odwiedzić; jak konia ukuje, to pewnie i tygodnia żelaznych bótów nie ponosi.

Jeszcze nasz wieśniak sam wełnę uprzędzie, i sukno urobi; tylko wędrowny krawiec musi uszyć sukmanę. Prawda, że kto sam robi, to drugiemu nie zapłaci; ale można robotę lżejszą oddać komu innemu, kobiecie naprzykład albo starszemu dziecku, a samemu jąć się czegoś zyskowniejszego.

Jednak gdzie ludzie jeszcze nie czują potrzeb lub te, jakie mają, sami zaspokoić mogą, tam podział roboty prawie żaden, ale też jak to mówią: Maciek zrobił, Maciek zjadł. Dopiero wtenczas jest jako tako między ludźmi we wsi czy w mieście, gdy są różne rzemiosła, przemysł i dobre drogi do jazdy: tam na prawdę ręka rękę umywa, noga nogę wspiera. W krajach czysto rolniczych najpóźniéj lud przychodzi do podziału pracy i do różnego rzemiosła.

Lecz jak z jednéj strony rozdzielona robota między różne ręce i pośpieszniéj idzie i lepszą bywa, tak znów połączenie sił ku wzajemnéj pomocy, czyli skupienie pracy i korzyści z niéj odniesionych, niemniéj człowiekowi wychodzi na pożytek. Mądrze to w Biblii powiedziano,

że „źle być człowiekowi samemu.“ Dlatego też, aby źle człowiekowi samemu nie było, łączy się z drugiemi. Ztąd to powstały rozmaite stowarzyszenia, spółki, w których biorą udział albo sami robotnicy albo sami przedsiębiercy. Czasem znów przedsiębiercy mając więcej pieniędzy i zasobów, czyli jak mówią, kapitałów, przypuszczają trzeźwych i uczciwych robotników do zysku. Mówią bowiem sobie tak: choć człowiekowi temu zapłacę, ale go nie obchodzi, jak idzie przedsięwzięcie. Gdy jednak będzie miał na myśli, że i jemu coś kapnie z ogólnego dochodu, raźniéj będzie pracował i pilniéj strzegł sprzętów i narzędzi w rzemiośle lub w fabryce.

Innym razem znów robotnicy, zwłaszcza gdy ich w jakiéj fabryce jest więcéj, powiadają sobie: mało człek zarabia, to prawda; ale i z tego możnaby coś oszczędzić. Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. Więc tacy mądrzy robotnicy mają wspólną kassę, do któréj po trosze grosza wrzucają, a za to w potrzebie jest lekarz i lekarstwo, jest złotówka na strawę, gdy do roboty iść nie możesz. A tak i biédę przepędzisz i na dziada nie wyjdziesz i powiesz sobie: a to przecie człek nosi na karku głowę nie do pozłoty. Bodajto myśléć o jutrze i nie wszystko puszczać, co się dziś zarobi.

Otóż tak to sobie mądrzy ludzie poczynają; nie oglądają się na Towarzystwo dobroczynności, na szpital, na jałmużnę, bo człowiek prawy lęka się jak śmierci wyciągania ręki. Zresztą byle pracował szczerze i oszczędzał po trosze, toć nie zginie. Nie taki Pan Bóg ojczym — a i ludzie dobrego szanują i pragną miéć u siebie i robotę znajdą. Jeszcze w naszym kraju niéma tylu ludzi, żeby nie mieli co robić, owszem podobnoć rąk zdolnych i pracowitych i trzeźwéj głowy wszędzie brakuje. Ale wróćmy do naszéj rozprawy. Powiedziało się, że mądrzy ludzie oglądają się na jutro i w tym celu łączą się w spółki rozmaite. Żeby się to okazało jasno, przytoczę wam, mili czytelnicy, parę przykładów, prawda, że zagranicznych, ale jednak nauczających.

W pewném miasteczku francuzkiém, co się zwie *Giz* ([1]), są sławne fabryki wyrobów żelaznych. Robotników pracuje tam przeszło 700. Prowadzi te zakłady niejaki p. Godę-Lemer ([2]).

Przed trzydziestą laty był on jeszcze ubogim ślósarczykiem. Wędrując po świecie, poznał, co to biéda, jak nieraz rzemieślnik lub robotnik ciężkie przechodzi koleje dla tego, że nie umie sobie radzić. Pracą i oszczędnością dorobił się majątku i dziś stoi na czele fabryk wyrobów żelaznych sławnych na całą Europę. Ale mimo to nie zapomniał, z czego urosł i podług przykazania Bożego pamiętał, aby i tym było dobrze, co u niego pracują. Człek to z głową, więc i jemu idzie dobrze i ludziom u niego pracującym. Powiedział on sobie: ludzie moi niezamożni, a chcą pracować; trzeba im dopomódz. Tanie i czyste mieszkanie jest dla każdego, a cóż dopiero dla biednego człowieka, tyle a może wiecéj warte niż smaczne jadło.

W tym celu przedsiębierca zbudował wielki dom niedaleko zakładów fabrycznych i nazwał go *rodzinną zagrodą* ([1]). Obszerne podwórze i duży ogród za tym domem zdobią go i utrzymują czyste powietrze. Na każdém piętrze są mieszkania większe i mniejsze z osobném wejściem i dwoma oknami. Na trzech piętrach jest takich mieszkań 380, ale ponieważ za mało było, więc od ogrodu zbudowano jeszcze skrzydło, tak żeby w całym budynku można pomieścić do 700 familij. Mniejsze mieszkania dla mniéj licznych rodzin lub pojedynczych robotników mają tylko piec służący razem i do gotowania; większe mają i kuchnie. Cena mieszkań większych wynosi rocznie około 260 złotych polskich. Za jeden pokój ze sprzętami, pościelą i usługą płaci się miesięcznie od 16 do 20 złotych. Na dole tego budynku mieszczą się sklepy, w których robotnicy mogą nabywać rzeczy potrzebnych do życia, mało co drożéj niż kosztuje ich wytworzenie. Dla zachowania zapasów służą obszerne piwnice. Wszakże pamiętano tam nietylko o zaspokojeniu żołądka, lecz także i o tém, by człowiek nie zdziczał, jak się to dzieje po licznych fabrykach gdzieindziéj.

Dla każdego wieku jest zabawa i nauka. Jeżeli matka ma dziecko przy piersi, a potrzebuje iść na zarobek, to jest żłobek, gdzie może malca zostawić pod opieką na kilka godzin, a po skończonéj pracy znów bierze go do siebie. Jest szkoła dla starszych dzieci i druga dla dojrzalszych, tak że jak ją przejdą, to już potém czy do służby czy do rzemiosła śmiało iść mogą. Dziewczęta uczą się robót kobiecych i po-

---

([1]) Guise niedaleko St. Quentin.

([2]) Godin-Lemaire

([1]) Familistère.

rządku domowego. W szkole rózgi się nie używa, a mimo to jest ład i posłuszeństwo i pożytek. Panna Maryanna, siostra założyciela téj zagrody rodzinnéj, rzadkiéj dobroci i doświadczona niewiasta, zbiera wieczorami dziatki i opowiada im różne powieści. Ciężka to już kara, jeżeli za jaki figiel które z dzieci nie może być obecne na téj gawędzie. P. Bóg błogosławi przedsiębiercy, ludzie mu są wdzięczni i chętnie pracują; są trzeźwi, moralni i oszczędni tak, że pewien Anglik, gdy zwiedzał ten zakład, nie mógł się wydziwić całemu urządzeniu i w końcu dodał, że nawet w Anglii trudnoby znaleźć tak wzorowe stowarzyszenie — Następnie powiemy o innym z tego rodzaju wzorowym zakładzie.

F. Kr.

NAROWY I PRZESĄDY LUDU WIEJSKIEGO.

Któż nie zasłyszał o bogatéj i urodzajnéj Sandomierskiéj ziemi? Tam łany złotéj pszenicy, nieprzejrzane prawie, mile się uśmiechają do każdego przechodnia, a sowicie nagradzają prace rolnika. Toć to *Sandomierka* znana w kraju i za granicą, gdy tam, het! za morza płynie naszą Wisłą zboże wszelkie, a szczególniéj pszenica, i my pracą naszą żywimy zamorskie narody.

Nie dziw, że tam ludek hoży, zamożny i rześki a chętny do pracy i do nauki w szkole i kościele. Świątynie też Boże gęsto tam zasiadły, tak że niekiedy wyjechawszy na wzgórze podróżny, rozgląda się dokoła i zdumiewa, gdy na wszystkie strony widzi wieże kościołów, a niekiedy trzy i cztery naraz postrzega świątynie Boże.

Okolica Sandomierska jest bezleśna, i gdy chleba ma dostatek, siana niewiele, a drzewa nic prawie.

Widać, że to tak Pan Bóg mądrze wszystkich ludzi i okolice poobdzielał; a co jeden ma dostatkiem, tego drugiemu brakuje, iżby jeden drugiemu nie zazdrościł, a wszyscy z sobą się łączyli i wzajem sobie pomagali.

Przy jednym z tych kościołków sprawował posługę religijną i chrześciańską dla pobożnego ludku swéj parafii siwiuteńki już jak gołąbek, lecz rześki jeszcze i żwawy staruszek, ksiądz Świętosław.

Pięćdziesiąt przeszło lat strawił już na pracy przy wiejskim swoim kościołku ks. Swiętosław, a nie zapragnął ni bogatszéj plebanii, ni bardziéj oświeconego ludu. Owszem wżył się niejako i wrósł do téj ziemi i do wiernéj swéj trzódki, a ofiarowane sobie bogatsze uposażenia precz odmiatał, przestając na małém i spokojném zaciszu. Trudnoby się mu było odłączyć od swoich parafian, których tyle już pokoleń ochrzcił, wychował po religijnemu, a znał ich po imieniu wszystkich, a oni go wszysy *ojcem duchownym* nazywali.

Jak przyszła niedziela, to wstęgą różnobarwną z każdéj wioski ciągnął ludek Boży do kościoła, a rzadki był, ktoby w niedzielę opuścił nabożeństwo, nie wysłuchał mszy świętéj i kazania; chyba że już kogo choroba zatrzymała w domu, lub matka albo ojciec z kolei musiał zostać w domu przy niedorosłéj dziatwie i dobytku.

Nikt w niedzielę z parafian tamtejszych nie jeździł do młyna lub na targ ze zbożem do miasteczka, lub nie wystawał przed dworem całe pół dnia dla porachunku i wypłaty; ks. Świętosław i panów i szlachtę i chłopów potrafił przekonać i nauczyć, żeby Bogu oddawać, co się Bogu od nas należy.

Słyszeć też go było jak często gęsto w niedzielę przypominał wszystkim słowa świętej Ewangelii: „ludkowie moi, pamiętajcie, że nie samym tym chlebem dorobkowym się żywimy: jak ciało potrzebuje pokarmu, tak dusza potrzebuje pokarmu nauki Boskiéj, łaski Wszechmocnego, Sakramentów świętych, żeby żyć mogła dla Boga i nieba, a jeżeli sześć dni w pocie czoła pracujemy na ten chléb, który ginie, to czyż nie słuszna, żebyśmy siódmy dzień cały poświęcili na służbę Bogu i na pracę około zbawienia jedynaczki duszy naszéj?“

Jeżeli jeszcze czas był po temu, że nie było bardzo mroźno lub słotno na dworze, to każdy gospodarz otoczony wszystką swą dziatwą czysto i świątecznie przybraną, szedł do kościoła, a ledwie starcy i niemowlęta w domu pozostawały.

Poszło zatem, że ludek ów, idąc za głosem swego pasterza, w krótkim bardzo czasie pozbył się złych narowów, tak iż w całéj parafii nie było jednego nałogowego pijanicy, niesłyszano nigdy, żeby komu wypasiono łąkę lub

zboże, żeby komu co zginęło na polu lub podwórzu.

Wszyscy żyli w zgodzie pomiędzy sobą; nie usłyszałeś przekleństwa lub złorzeczenia, które gdzieindziéj przez dzień cały od świtu do układzenia rozlegają się po wioskach naszych.

Był to wpływ Boskiéj religii Chrystusa, która przenikając do głębi duszy, uświątobliwia człowieka i uszczęśliwia go w tém jeszcze życiu. Był też to i owoc pracy poczciwego plebana, który cały poświęcił się dla dobra ludu.

A uczył go nietylko raz na tydzień w kościele, ale tyle jeszcze wymógł na swoich parafianach, że ci i szkołę wystawili i dzieci swe chętnie na naukę posyłali.

Mało też kto był w całéj parafii, któryby czytać nie umiał. Dziatwa od młodości nawykła do kościoła, kwapiła się naśladując starszych, na nabożeństwo w każde święto i niedzielę każdą.

Niewiasty i mężczyźni wszyscy szli do kościoła, każdy z książką do nabożeństwa; wszyscy pilnie słuchali kazania, a szczególniéj katechizmu, chcąc się czegoś pożytecznego nauczyć lub o czémś nowém dowiedzieć.

Ksiądz Świętosław bowiem nie tylko pouczał ludek swój o zasadach wiary świętéj, ale niekiedy prawił im o wielu nowych wynalazkach i pożytecznych odkryciach; a gdy coś takiego było, o czemby w kościele mówić nie przystało, wszystkich gospodarzy zapraszał do siebie na plebanią, i tam z niemi poufale rozmawiał, tam ich nauczał rzeczy potrzebnych, tam im pokazywał nowe jakieś ulepszenia w gospodarstwie i zachęcał, żeby to u siebie zaprowadzili.

Na wiosnę corocznie zachęcał ich do sadzenia i szczepienia drzew owocowych, a patrzał już z rozkoszą jak cała wioska otoczyła się wieńcem sadów, i przed każdym domem lub za domem w ogródku u każdego włościanina żółciały się piękne grusze, czerwieniały wiśnie i jabłka wyborowym owocem.

Gdy zaś każdy miał to wszystko u siebie obficie, nie było przykładu, żeby robił szkodę jeden drugiemu lub psuł niedojrzały owoc cudzy; dzieci też pilnie upominano, żeby cudzego nie pożądały.

Ks. Świętosław corocznie nawiedzał domy swoich parafian. Wchodził tam w imię Boże, z błogosławieństwem na ustach, miłością w sercu. Przyszedł nie po to, żeby mu co dano, lecz żeby on udzielił błogosławieństwa i poświęcił domki swoich wiernych. Nie trzeba mówić, że na odwiedziny takie pasterza wszyscy oczekiwali w domu, nie wyjeżdżał wtenczas żaden gospodarz z domu; każda matka z dziećmi czekała tak pożądanego gościa. Tam domek musiał być wybielony, sprzęty i naczynia wymyte, dziatwa wyczesana i świątecznie ubrana, gospodarstwo z czeladką gotowe na przyjęcie swego pasterza. A gdy kapłan poświęcił dom i wszystkich w nim mieszkających, to poufale zasiadłszy pomiędy nimi pytał najprzód, czy dzieci są karne i posłuszne? czy mówią pacierz? czy dobrze umieją katechizm? A gdy wedle swojego wieku odbyły tę próbę, to pochwaliwszy rodziców gorliwość i troskę o dobro swéj dziatwy, stawał pośród niéj, głaskał i zachęcał do dobrego, upominał do miłości Boga i ludzi.

Znając dobrze swoich parafian nietylko z imienia ale i z obyczajów, ksiądz Świętosław wiedział, co komu ma powiedzieć, jak kogo upomnieć.

Przy takich wizytach pasterskich godził nieraz poważnione małżeństwa, usuwał zgorszenia.

Bywało niekiedy, że poważnieni sąsiedzi, a najczęściéj jaka rodzina, po śmierci rodzica lub w innéj zwadzie familijnéj, szli do księdza plebana, a ten wysłuchawszy jednéj i drugiéj strony, po ojcowsku godził ich i na miejscu kończył ich spory. Ludek znając prawość i naukę swego pasterza poprzestawał na jego wyroku, i nie znał co to pieniactwo i chodzenie od sądu do sądu, gdzie i ten co wygrał, nic nie ma, straty będąc tyle czasu zmarnowanego i tyle pieniędzy; i ten co przegrał, nic nie ma, bo utracił i to, co chciał posiąść i wiele poniósł kosztów i trosków nie mało.

Bywało, że w wielu innych razach, po naukę, po radę, po lekarstwo wszyscy parafianie garnęli się do swego duchownego ojca. Stały wciąż otworem drzwi jego domku pod strzechą słomianą, żeby nie wyróżniał się pałacowością od domków ubogich jego parafian. Każdy też tam wchodził bez trwogi i obawy, w każdym czasie, w każdéj dnia godzinie; nikt nie wystawał w sieni, bo najpierwszym gościem dla tego plebana byli jego parafianie. Przyjmował ich z całą otwartością i szczerością, słuchał z miłością, z dobrocią opatrywał.

Był to ojciec swoich parafian, oni wszyscy jego dzieci; była to opatrzność żyjąca parafii całej. Jak daléj sobie radził opowiemy następnie.

W obec trumienki dziecka.

Nad zmarłém dzieckiem płaczesz, matko tkliwa!
Straciłaś owoc cierpień i miłości;
Prawda, tyś bardzo, bardzo nieszczęśliwa,
Jednak bezdzietna tobie dziś zazdrości!
Przebyłaś wszystkie niewiasty koleje,
Odczułaś radość, pogrzebłaś nadzieje;
Lecz jesteś matką—nie zasępiaj czoła,
Tak, matką jesteś! Ty wierz, jak ja wierzę,
Tyś matką—nazwy téj nikt nie odbierze,
Wczoraj człowieka — a dzisiaj anioła!

A macierzyństwa stopni bardzo wiele...
Rodzić w boleści — to jeszcze wesele!
To szczęście, którém Bóg boleść nagrodził,
Szczęście, że człowiek na świat się narodził!
Dniem, nocą czuwać nad nim od powicia,
Własnym pokarmem udzielać mu życia,
Sił, zdrowia... oto być matką raz drugi.
Ale gdzie miłość, już tam mniéj zasługi,
Z serc matek same leją się pieszczoty;
Lecz matka cały świat dźwiga w objęciu,
Więc duszę zbudzić, więc wszczepić w dziecięciu
Światło z nauką — a z przykładem cnoty,
Ludzi i chrześcijan tworzyć z swoich dzieci:
Kobiety! oto być matką raz trzeci.

Nie na tém koniec — patrz jak ono rośnie!
Syn jeszcze w pączku, w życia swego wiośnie,
A ona syna śle w niebezpieczeństwo,
Swoją odwagą jego wdraża w męztwo,
Czuje, jak chwila rozstania się zbliża...
Widzi, jak syn jéj wpada w świat otwarty,
Boleść swą tłumiąc, żegna znakiem krzyża:
Kobiety! oto być matką raz czwarty!

Daléj o! matko! lękam się o ciebie,
Chmury na twojém gromadzą się niebie...
Nad twém dziecięciem, zwykła życia proba,
Czyha ból, nędza, troska, śmierć, choroba?...
Jakże swą boleść zdoła zwalczyć ona?
Boleść to matek życia jest korona!
Boleść ją równa z Maryją u krzyża,
Do *Tego*, który zmarł na krzyżu, zbliża;
Postać téj Matki boleść już oznacza,
Cierpi, lecz kocha — a więc nie rozpacza—
I chcecie wiedzieć gdzie szczyt téj miłości,
I téj zasługi, i cierpień?... w wieczności!
Bo gdy w rozpaczy matka karci siebie,
Ona chce jeszcze dziecię widzieć w niebie!

— O matko! w obec tak wielkiéj miłości,
W obec tych zasług, uniesień, boleści,
Które twe serce niezgłębione mieści —
Cierpień twych nawet bezdzietna zazdrości!

Gabryela z Güntherów Puzynina.

16 września 1865 r. Horodziłłów.

L I S T

z pod Mławy(*) *d. 14 Stycznia 1866 r.*

Łaskawy Panie Pisarzu „*Zorzy*”

Nie wiem, jak tam kto z ludzi jednego zemną stanu patrzy na książkę i drukowane w niéj słowo; co do mnie, to ja tak sobie myślałem i myślę, że człowiek, czy on tak czy owak jest położony, zawsze raźniéj jakoś idzie to biedne życie, kiedy co raz to szerzéj może się rozejrzeć po świecie,—kiedy może więcéj poznawać i więcéj wiedzieć. Oczy zaraz inaczéj się otwierają na ten świat szeroki, bo to i rozumu przybędzie, i z myślami człek lepiéj porządkować się nauczy, jak względem Boga, tak téż i względem ludzi.

U nas nie rozeznali jeszcze ludziska, jakie to dobrodziejstwa płyną z książki; aleć czas przyjdzie, że się przekonają, chociaż, co prawda, dawnoby już dla wszystkich przyjść powinien. Ci, co to rozumieją, powinniby dbać o to bardzo, aby się czas ten przecież przybliżył. Ja bo tak rozumiem, że kiedy dwóch sąsiadów, jeden od drugiego coś dla nauki skorzystać mogą, czy to w gospodarstwie czy téż w czém inném, to więcéj jeszcze płynie nauki, jak się człowiek rozezna w tém, co nie tylko w jego wsi jest, ale jest gdzieś tam i daléj, boć to przejechać tylko mil kilka, a cóż dopiero jak kilkanaście,—zaraz widzisz, że już nie to, co w twojéj wsi; to w tém, to w owém tam lepiéj, poprawniéj: i wieś jakoś schludniejsza, i w polu inaczéj, i zasoby a sposób życia inne, że chciałbyś zaraz czegoś się nauczyć, żeby i u ciebie było jak tutaj. Czy to my mało z nasłuchania wiemy, jak to jest w świecie, a czego u nas nie ma; jak to na przykład, o granicę kraju na Szląsku, w Galicyi, nasi rodacy daleko lepiéj gospodarować umieją, daleko schludniéj, wygodniéj mieszkają po wsiach, i daleko więcéj od nas umieją. A choć są wyjątki, toć wszędzie być muszą; powiadają, że w Galicyi polscy gospodarze po zniesieniu pańszczyzny niejedni pogałganieli, ale daleko więcéj zasobniejszych i porządniejszych jest tam gospodarzy niż u nas. Ha! boć téż tam, co prawda, dawniéj oni są już na swojém, niż my; toć i my téż przecie przy statku a pracy polepszymy swoją gospodarkę; kto zaś jest nicponiem, to na każdém miejscu zgałganieć musi.

(*) *Mława* miasto powiatowe w Gubernii Płockiéj, ma 4000 mieszkańców.

Otóż z książki nie jednéj takiéj rzeczy i dowiedzieć się i nauczyć można, a cóż dopiero z pisma, które jak „Kmiotek” a teraz „Zorza” drukują się dla tego, żeby z jednego końca kraju na drugi podać ludziom dla nauki i wiadomości to, o czém bez pisma trudno byłoby się dowiedzieć.

Toż ja oto, jak się dowiedziałem od naszego księdza proboszcza, że w Warszawie wasza „Zorza” wychodzić ma, tak zaraz w tym samym tygodniu jadąc na targ do Mławy, poszedłem na pocztę i zamówiłem sobie jeden jéj numer. „Zorza,” pomyślałem, to jakby jasność, która po ciemności dzień zapowiada. Więc dobrze, my ludzie prości po wsiach także żyjem w ciemnocie, toż pismo takie wyraźniuteńko dla nas ludzi nieumiejętnych jest przeznaczone, żeby choć cokolwiek rozwidnić nam ciemne życie nasze, dać dzień po nocy, nieświadomych jakby za rękę prowadzić i pokazywać a uczyć co dobre, godziwe i pożyteczne. I rad jestem, że już mnie to pismo wasze dochodzi, bo i sam czytać mam co, i dzieciaki także czegoś się dowiedzą i pożytek odniosą.

Już to po zakroju waszym widzę, że nie jedna rzecz ciekawa dla nas spłynie przez pismo wasze, a może téż czasami i nam wypadnie napisać co do was, bo jak się człek zastanowi z myślą o Bogu i z wiarą, to widzi, że nie jedno jest do poprawienia, nie jedno na prostszą trzeba wyprowadzić drogę, a jak ludzie stateczni zaczną mówić o czém, to i nauka jest i z niéj korzyść jak na dłoni.

Toż to i pobożność między nami nie ta co dawniéj, i obyczaje jakoś podupadają, — więc milczeć, patrząc na to, jakoś nie wypada, kiedy człowiek odezwać się może i powinien, a gadać jednemu, to nie na wiele się przyda. Pismo ma u nas wielką powagę, ono tyle ma znaczenia, jak nieprzymierzając głos księdza z kazalnicy w Kościele,—więc przez pismo niejedno i poprawione być może, i na pożytek jeszcze się obróci.

Dzisiaj jestem w Mławie za sprawunkami i wziąłem się napisać do Was, żeby podziękować żeście mnie „Zorzę” przysłali. Siadam do pisania, aż tu na ulicy „trzymaj! łapaj!.” Co u licha się stało? Myślę sobie, może kto z wjazdu porwał moje szkapsko, bo brama była otwarta. Wybiegam — szkapa spokojnie stoi przy żłobie, a ulicą biegną ludzie ze wszystkich stron i zaraz w końcu ulicy posłyszałem pisk jakiegoś wyrostka. Idę za ludźmi, aż tu trzymają oto panicza i odbierają pieniądze.

Rzecz tak się miała. Do kupca przychodzi ów wyrostek, kładzie na stół papierek pięć rubli i prosi żeby mu zmienić, a za sobą drzwi otwarte do sieni zostawił niby, przez roztrzepanie. Kupca nie było w domu, więc jego córka zmienia pieniądze, kładąc malcowi na rękę papierki rublowe; kiedy już ostatniego rubla położyła na jego rękę, ten naraz te papierki w garść, a drugą ręką za pięć rubli ze stołu—i w nogi.

Dowiedziałem się, że ten chłopak ma rodziców w mieście, że przy nich mieszka. I patrzcież na jakiego to wisielaka pod okiem rodziców wyjść może! A z czego to? oto nie ma dozoru, nie ma dbałości o dobre wychowanie dzieci; rodzice za tém nie patrzą, a jak tego chłopaka, to może wpierw nauczyli rubla poznawać, zanim dzieciak coś o pacierzu posłyszał.

Otóż to zgroza! Więc piszcie Panie pisarzu „Zorzy” piszcie co najwięcéj, a nie oszczędzajcie, kiedy co zganić wypadnie, bo to złego tyle się namnożyło. Ja się starać będę, żeby gospodarze w naszéj wsi pismo wasze trzymali, boć, chwała Bogu! jest już nieco takich co czytać umieją.

Janko Korabicz.

POGADANKA.

O świecie i o wszystkich rzeczach, które na nim są.

Jak wielką jest ziemia?—Zkąd wiemy, że jest kulista?—Dla czego z niéj nie spadniemy, jak się z nami obraca?

Zeszła się znowu gromadka ze wsi Popowic w dzień świąteczny przed domek Nauczyciela, ciesząc się między sobą, że znowu coś zajmującego i pouczającego usłyszą. Gdy usiedli pod lipkami, zapytał Nauczyciel bliżéj siedzących:

— O czémże to skończyliśmy mówić w przeszłą Niedzielę?

— O słońcu i o tém, że promienie słońca dopiero grzeją, jak są przepuszczone przez ziemskie powietrze, odpowiedział jednooki Sajenka.

— Mielibyśmy wielką ochotę posłuchać, wtrącił Rospendek, zkąd to ludzie wiedzą, że i ziemia jest okrągła i tak kulista jak słońce?

— O tém, moi kochani, przekonam was kilku sposobami. Oto, najprzód, gdy wyjdziemy na czyste, zupełnie równe pole, i obejrzymy się na wszystkie strony, to ujrzymy okrągłe koło, czyli widnokrąg, gdzie niby ziemia styka się z obłokami. Jeżeli pójdziemy albo pojedziemy daléj i coraz daléj, to wszędzie i wszędzie na całéj ziemi takie samo koło ujrzymy, co jest najprostszą oznaką, że ziemia musi być okrągłą. A teraz przekonam was, że jest i ogromną kulą, bo przypominacie to sobie dobrze, że w podróży śród równego pola, patrząc w dal przed siebie, choćby i na jakich parę mil, to ujrzycie najprzód wieże kościołów, potém szczyty drzew, następnie dachy domów, a w końcu idąc coraz bliżéj, i całe drzewa i całe domy. Znak to oczywisty, że ziemia się zaokrągla, i że z tego zaokrąglenia dopiéro przy zbliżeniu się, widzimy coraz większe wszystkie rzeczy, co były wprzódy przed nami zakryte. Ale jeszcze widoczniéj przekonywają się o téj kulistości ziemi podróżni na morzu, gdy z daleka płynący ku nim okręt pokazuje im najprzód koniec masztu, potém cały maszt, a gdy bliżéj podpłynie, to i cały im się wychyli. Dowód więc z tego, że i morza tak samo jak i ląd, czyli sucha ziemia, układają się krzywo tak, że razem jedną tworzą ogromną kulę. Prócz tego jeszcze wam jeden dowód téj kulistości ziemi przedstawię. Oto, gdyby kto z was naprzykład z tego tu miejsca, z Popowic, puścił się w podróż na przykład na południe słońca i dążył wciąż przed siebie, toby po upływie dużego czasu wrócił do nas z drugiéj, przeciwnéj strony z północy, i témby nas przekonał, że odbył podróż dokoła ziemskiéj kuli. Podobnych podróży na ziemi i na morzach okrętami odbyło już wielu podróżników, a wracali zawsze na miejsce z przeciwnéj strony, objechawszy świat dokoła.

— A dużoby téż to czasu potrzeba było, wtrącił zaciekawiony Skiba, ażeby całą ziemię dokoła objechać?

— Tyle, rzekł Nauczyciel, ile potrzeba na zrobienie 5,400 mil, bo taki jest duży okrąg, czyli obwód ziemi. Gdybyśmy zaś jakim sposobem mogli przewiercić ziemię na wylot, i spuścić się na spód, na miejsce przeciwne temu, gdzie stojemy, to potrzebowalibyśmy tylko zrobić 1720 mil, bo tak długą jest średnica ziemi, jak się uczeni ludzie przekonali z różnych obliczeń.

Po chwili zastanowienia mówił Nauczyciel daléj:

— Sądzę, że teraz już możecie pojąć, moi sąsiedzi, dla czego to wydaje się nam, że słońce zachodzi za ziemię, kiedy jest przeciwnie, bo to my z ziemią oddalamy się od słońca z Zachodu ku Wschodowi, czyli patrząc na słońce, to od prawéj ku lewéj ręce. W téj powietrznéj podróży rzeczywiście nie wszędzie w jednym czasie słońce ludziom niknie; w Warszawie na przykład zachodzi ono o dobrą godzinę późniéj niż w Paryżu, stolicy Francyi. Zresztą przypomnijcie sobie, jak to nie raz jadąc drogą około zboża na przykład lub drzew i chałup, to nam się zdaje, że to zboże, drzewa i chałupy wtył uciekają, gdy tymczasem one się ani ruszą z miejsca, a my tylko się oddalamy od nich. Jest to złudzenie naszego oka; a tak samo oko się myli i co do biegu słońca; czyż nieprawda: powiedźcie sami?

— Prawda! prawda! zagwarzyło kilku z gromadki, pamiętamy to dobrze, jak nam się wydaje, że i ziemia z pod nas ucieka wtył, kiedy szybko wozem albo konno jedziemy polem.

— Dobrze to wszystko..., odezwał się zakłopotany Skiba, rozumiem to już, że to ziemia oddala się od słońca a nie słońce od ziemi, tylko tego jeszcze wymiarkować nie mogę, — jak my się utrzymać możemy na téj ogromnéj ziemskiéj kuli, kiedy się ona z nami przewraca do-góry-nogami i pędzi precz naokoło słońca w powietrzu?

— Dobre zapytanie, rzekł Nauczyciel, — zachęca mnie ono, abym was i w tém objaśnił. Że ziemia nasza ogromnie szybko obraca się około siebie i niby krąg rzucony, kręcąc się ciągle, biegnie naokoło słońca prędzéj o wiele razy niż ptak lub parowa maszyna po drodze żelaznéj, to z tego sobie uważcie, że na jednę godzinę 225 mil ubiega! Że zaś przy tak szybkim pędzie ziemi nie spadniemy z niéj, to dla tych przyczyn, jak zaraz powiem. Uważacie to dobrze, że jak co spada z wysoka, naprzykład jabłko z drzewa albo téż kamień wyrzucony w powietrze, to ani jabłko ani kamień nie zawieszą się w górze, ale zawsze pędzą ku swéj matce ziemi, z któréj pochodzą. Dzieje się to tém, że ziemia ma taką siłę, iż każde ciało, to jest każdą rzecz przyciąga do siebie; a że i człowiek jest ciałem, więc i jego nie puszcza w powietrze. Otóż ta siła przyciągania jest pierwszą przyczyną, że przy obrocie ziemi nie wylecimy w powietrze. Zresztą połóżcie naprzykład kamyk lub szklankę z wodą na

rzemyku procy, od którego idą dwa sznurki, i temi sznurkami ujętémi w jedną rękę obracajcie bardzo szybko dokoła, to ani kamyk z rzemyka nie spadnie, ani nawet woda ze szklanki wcale się nie wyleje, tylko z procą będzie latać dokoła; a więc tak samo dzieje się ze wszystkiemi rzeczami, co są na ziemi. A zresztą człowiek w porównaniu z tą ogromną kulą ziemską jest jakby niedojrzany proszek na niezmiernie wielkim kościele, a zatém i czuć i dostrzedz on nie może, co się to z nim robi: że ta wielka kula z nim biegnie i przewala się, tak iż we dnie jesteśmy na jéj wierzchu i widzimy słońce, a w nocy pod spodem, bo nie widzimy słońca.

Ale natém wam skończę ńateraz o téj naszéj ziemi żywicielce, a na przyszłą Niedzielę, zapraszam was, sąsiedzi moi, do dalszéj pogadanki i o innych rzeczach,—które nas otaczają.

RÓŻNE — RÓŻNOŚCI.

O wystawie powszechnéj we Francyi.

W mieście Paryżu wmiesiącu Kwietnia 1867 r. otwartą zostanie Wystawa powszechna utworów sztuk oraz płodów przemysłu rolniczego, rękodzielniczego i górniczego.

Z całego przeto świata sztukmistrze, fabrykanci, rzemieślnicy mogą wysyłać najpiękniejsze swoje obrazy, najlepsze swoje machiny, narzędzia, wyroby, sprzęty; rolnicy, najlepsze swe zboże, mąkę, kaszę, przytém len, konopie, wełnę, jedwab': wreszcie górnicy najlepsze żelazo, stal, miedź, cynę, i t. p. Wszystkie te rzeczy będą ustawiane w ogromnym gmachu szklannym na placu Marsowym w Paryżu; mogą téż być sprzedawane na miejscu, a najlepsze z nich otrzymają rządowe nagrody. Przemysłowcy z naszego kraju powinni wprzód nadesłać swoim kosztem do Warszawy płody i wyroby swoje do *Warszawskiego Komitetu Wystawy Powszechnéj w Paryżu*, najdaléj do 13 Listopada roku bieżącego. Godzi się więc zachęcić polskich rękodzielników i rolników, iżby najlepsze roboty swoje lub wynalazki postarali się okazać światu i dowieść, że i my coś umiemy.

O chlebie spleśniałym.

— Po wsiach przechowuje się zwyczaj przysposabiania zapasu chleba najmniéj na dwa tygodnie, co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną, bo gospodyni czasu-by nie starczyło do innych zatrudnień, gdyby chléb codzień piec chciała. Jednakże, przechowując zapas chleba, ludzie nie dosyć zwracają uwagi na to, aby chléb dobrze był upieczony i trzymany w miejscu suchém koniecznie:—gdy te dwa warunki nie są zachowane, to chléb okrywa się pleśnią, która na zdrowie działa tak szkodliwie, jak najgwałtowniejsza trucizna; szczególniéj zaś u dzieci spostrzegać się to daje.

Po zjedzeniu chleba śpleśniałego, dzieci doznają zawrotu głowy, gwałtownych boleści w żołądku, wymiotów; uczuwają ociężałość i ciągłą chęć do snu, a często nawet wpadają w wielką chorobę. W takim razie zawsze pomagają wymioty mocne i obfite, do tego zatém środka wtedy uciec się potrzeba, chcąc słabemu zdrowie przywrócić a często i uratować od śmierci.

Po wsiach téż, jak w Augustowskiem, istnieje grzeszny i szkodliwy zabobon jadania śpleśniałego chleba w czasie burzy i piorunów, jakoby dla odwrócenia piorunu od chaty. Ubolewać trzeba nad tymi, którzy w podobne przesądy wierzą.

Raz jeszcze powtarzamy uwagę powyżéj przytoczoną, że chcąc chléb zachować od pleśni, potrzeba go wypiekać bardzo dobrze, a potém w suchém przechowywać miejscu, bo chléb, to podstawa i grunt pożywienia każdego człowieka, a cóż dopiéro biednego rolnika.

Przy téj sposobności zrobimy i tę jeszcze uwagę, że słonina, lub sadło zbyt stare i jełkie, zawsze prawie sprowadzają choroby niebezpieczne, a przeto są do użycia bardzo szkodliwe. *J. K.*

ZAGADKA.

Co to jest?

Maluteńkie,
Krzywiuteńkie,
Całe pole oblata;
Jak gadzina
Kąsa, ścina
Na pociechę dla świata.

Znaczenie poprzedniéj zagadki: *Kieliszek.*

Redaktor i Wydawca, **Józef Grajnert.**

w Drukarni Gazety Polskiéj. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.